BIBLIOTEKA

„Nowego Dzwonka“

wychodzi raz w miesiącu, około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Ks. Marceli Dziurzyński.

Rocznik I. Maj 1901 r. Zeszyt IV.

Biblioteka „Nowego Dzwonka“ kosztuje w rocznej prenumeracie: 1 koronę (50 ct.) — Do Niemiec na rok 1 markę.

Przedpłatę przyjmuje Redakcya „Nowego Dzwonka“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.

Każdy prenumerator „Nowego Dzwonka“ otrzymuje „Bibliotekę“ całkiem za **darmo,** jako dodatek miesięczny do „Nowego Dzwonka«·

KRAKÓW.
Nakładem Redakcyi „Nowego Dzwonka“.

Zwraca się uwagę na ostatnią stronicę okładki!

Dobry uczynek nie ginie.

Było to w Paryżu. Wśród najostrzejszej zimy siedział starzec jakiś na rogu odludnej ulicy. Mogła być godzina 10 wieczór; mała liczba ludzi, co szli tamtędy, spieszyli się, by jak najprędzej dostać się do domu, zresztą myśleli, że ten starzec musi być pijany, kiedy w takim mrozie siedzi na ulicy. Gdyby się jednak byli lepiej przypatrzyli, byliby zobaczyli, że jest trzeźwy i pomimo widocznego ubóstwa wyglądał przyzwoicie.

Wreszcie szedł drogą jakiś młody człowiek, śpiewając i pogwizdując. Stanął przed starcem i zapytał co mu brakuje.

— Głodny jestem — zajęknął starzec.

— Temu można zaradzić — odrzekł młodzian. Oprzyjcie się na mojem ramieniu i jeźli możecie chodźcie ze mną.

Ten młody człowiek, robotnik, zaprowadził starca do gospody będącej w pobliżu i kazał mu dać wieczerzę. Starzec jadł z takim apetytem, że towarzysz jego, który z rozkoszą mu się przypatrywał, musiał go upominać, aby nie jadł tak prędko, bo sobie może zaszkodzić.

— Macie słuszność — odrzekł starzec — a przytem nie powinienem waszej dobroci nadużywać; bo musicie zapewne wiedzieć, że nie mam pieniędzy na zapłacenie.

— To nic nie szkodzi; już ja się o to po-

staram. Macie, napijcie się jeszcze kieliszek wina, potem zaprowadzę was do domu.

Mieszkanie starca nie było daleko.

Gdy już przyszli, wziął go robotnik za rękę i rzekł:

— Mnie się dobrze powodzi, zarabiam wiele nad me potrzeby, a co mi pozostaje, to wydaję na rozrywki Właśnie mam jeszcze 20 franków.; miasto je roztrwonić, dam je wam, proszę, weźcie to, dobranoc!

To mówiąc, wcisnął młodzian starcowi 20 franków do ręki i szybkim krokiem się oddalił.

Starzec ten, którego dobrotliwa Opatrzność w tak dziwny sposób od śmierci głodowej i zmarznięcia ocaliła, był niegdyś urzędnikiem, który mały swój majątek przez złych ludzi utracił. Miał wprawdzie bardzo bogatego brata, ale ten wcale się o niego troszczył i w nędzy go zostawił.

W niespełna rok po tem wydarzeniu stracił ów brat twardego serca żonę i dwóch synów przez nagłą śmierć; on sam wkrótce umarł, a cały majątek na mocy prawa przeszedł na jego opuszczonego brata. Ten nie zapomniał o swym dobroczyńcy; starał się wszelkim sposobem odszukać go i za pomocą dzienników wezwał go do siebie.

Pewnego dnia zjawił się młody robotnik i przedstawił się staremu urzędnikowi jako ten, którego wezwał przez dzienniki.

Ale starzec nie znalazł w tym człowieku żadnego podobieństwa z swym dobroczyńcą.

Uprzejmie jednak i grzecznie przyjął gościa i rzekł:

— Więc to paneś mi przed dwoma laty tak wielką wyświadczył przysługę?

— Rozumie się — rzekł, i wyprostował się dumnie — teraz i pan mi możesz wyświadczyć przysługę, bo mnie się teraz okropnie źle powodzi.

— Kochany przyjacielu — rzekł następnie ów stary urzędnik — bardzo by mnie cieszyło, żebym panu mógł się przysłużyć. Niech się pan tymczasem przed południem u mnie zatrzyma, a ponieważ teraz właśnie jest czas śniadania, to chodźmy do owej gospody, do którejś mnie pan wtenczas zaprowadził — wszak pan wiesz, gdzie to jest?

— Nie, tego nie pamiętam, bo to już dawno było.

Wtenczas staruszek rzekł poważnie i surowo:

— Słyszysz młody człowieku, źleś się wybrał; chcesz sobie zakpić ze mnie, jabym cię mógł oddać w ręce policyi. Ale ponieważ się domyślam, że znasz tego człowieka, którego poszukuję, obiecuję ci, że miasto cię wydać, dam ci sowitą nagrodę, jeźli mi powiesz, gdzie go znaleźć mogę.

Robotnik osłupiał i rzekł:

— Masz pan słuszność. Mnie, com nigdy nikomu ani krajcara nie dał, nie godzi się z dobrego uczynku mego towarzysza korzystać. Ten, którego pan szukasz, pracował wtenczas ze mną w tej samej pracowni, ale teraz jest przy wojsku w Afryce, a to podało mi myśl, aby udać, że ja

nim jestem: proszę pana, przebaczyć mi ten krok nieuczciwy.

Stary urzędnik ucieszył się, że wreszcie wpadł na trop swego dobroczyńcy i natychmiast poczynił potrzebne kroki, aby go uwolnić od wojska; a skoro powrócił, przybrał go za syna.

Sobieski w Krasnopuszczy.

Niedaleko Złoczowa leży miasteczko Pomorzany. Należało ono dawniej do rodziny Sobieskich, a Jan Sobieski lubił to miejsce, gdyż zanim królem polskim został, często tam polował. W pamiętnikach tego miasteczka zapisany jest dziwny wypadek, który Sobieskiemu na polowaniu się wydarzył.

Działo się to w drugiej połowie stycznia 1665 roku. Na cześć Sobieskiego wówczas jeszcze hetmana, urządzono wielką obławę, a mnóstwo było zwierzyny w lasach pomorzańskich. Gajowi z ludźmi wyszli równo z dniem, ale sama obława z powodu różnych przeszkód zaczęła się gromadzić dopiero około południa. Sobieski stanął na stanowisku, zwanem podziśdzień pasieką. Nie szczęściło się w tym dniu Sobieskiemu, gdyż jakkolwiek i jelenie i niedźwiedzie obok przebiegały, zaledwie kilka położył zajęcy.

W tem nagle usłyszał Sobieski ogromny trzask gałęzi i w tej samej chwili wypadł z lasu

ogromny dzik, pędząc prosto na niego. Dzik trafiony celnym strzałem przykląkł, lecz zerwawszy się, uchodzić zaczął w gęstwinę. Sobieski rzuciwszy palną broń, puścił się za nim z kordelasem.

Nadbiegli strzelcy, zaczęli strzelać i nawoływać, chcąc panu wskazać miejsce, gdzie ich ma szukać, a nawet kilku w ślad za nim się puściło, ale że to był dzień mglisty, a w dodatku i ciemnieć nagle poczęło, stracili wkrótce ślad Sobieskiego. Ten zaś na strzały odpowiedzieć nie mógł, bo strzelby nie miał przy sobie, a dzika żal mu było porzucić. Gdy atoli gonitwa za długo się przeciągała, noc coraz bardziej zapadała, a i zmęczenie czuć się dało — zaczął Sobieski myśleć o powrocie.

Wolnym krokiem szedł jarem do góry, gdzie myślał, że napotka swoich. Po dość długim czasie trafił na polankę, do której przez ciemny gąszcz przebijało się słabe światełko. W tem rosły jeleń wyrwał mu się z pod nóg i pędem pobiegł w kierunku, zkąd światło błyszczało. Podążył za nim Sobieski i ujrzał chatkę, której drzwi jeleń uderzeniem rogów sobie otworzył, a w tem na progu chatki ukazał się poważny w mniszym stroju starzec.

— Niech będzie pochwalony! — powitał Sobieski.

— Sława Bogu, sława i wam panie na wieki — odrzekł poważnie starzec.

— Ktoś ty starcze? Nie obrażaj Boga, bo

tylko Jego chwała trwa na wieki. Powiedz mi, gdzie jestem i co ty tu porabiasz?

— Nie bój się, miłościwy panie, ja biednym jestem pustelnikiem, a raduję się bardzo, że was w mojej chatce przyjąć mogę, bo na waszej głowie widzę koronę, a na waszem ciele odblask wiecznej chwały.

I upadł starzec na kolana i całował ręce Sobieskiego.

Wzruszonemu i przejętemu Sobieskiemu łzy w oczach stanęły, podniósł starca i rzekł:

— Głodny i zmęczony dziś ja będę u ciebie, a jutro ty już u mnie.

I wszedł do chatki ojca Gedeona, rzucił się na ofiarowane mu posłanie z mchu i liści, a pustelnik dołożył drewienek do ognia, przy którym gotował się groch, który miał być całem obu pożywieniem.

Na zapytanie Sobieskiego odpowiadał starzec, że brał udział w wojnie Chmielnickiego, ale przerażony mordem i pożogą, schronił się do tego ustronia i osiadł w miejscu, gdzie przed latami stało sioło Krasnopuszcza; a dalej, że widział raz we śnie rycerza, zupełnie do Sobieskiego podobnego, w koronie na głowie i z mieczem w ręku.

— Tak panie — kończył starzec — ty jesteś tym królem, a ja nie umrę, póki cię nie ujrzę w koronie.

I upadł starzec na kolana modlić się począł gorąco.

Usnął zmęczony Sobieski. Gdy się obudził, był już dzień biały. Przed sobą ujrzał ojca Ge-

deona i wiernego sługę Wardeńskiego, któremu z drużyną udało się pana odnaleźć.

Modlił się długo Sobieski, a gdy miał powstać, Gedeon położył ręce swoje na głowie jego i błogosławił.

Rzekł tedy Sobieski:

— Święty starcze, chcę, aby na miejscu, gdziem dziś nocował, stanął klasztór Bazylianów, a ile na dzień jeden człowiek drogi ujdzie, taki szmat kraju darowuję na własność tobie i klasztorowi, którego przełożonym ty będziesz.

W dniu 7 marca 1665 r. założono klasztór, a gdy w dziesięć lat później ojciec Gedeon doczekał się spełnienia swego proroctwa, przekonał się, że i Jan III o tem pamięta. Nowy król bowiem obdarował klasztór tysiącmorgowym obszarom, z dział zdobytych kazał ulać dzwony, a do cerkwi zakupił obraz wartości sto tysięcy złotych. Nietylko tedy wielkim wojownikiem i pogromcą Turków, ale i pobożnym i wdzięcznym był Jan III.

ROPUCHA.

(Z podań ludowych).

A wiecie wy, że ropucha to gad wyklęty?! Stworzył ją Bóg, jak wszystko, gdy zasiał już lasy i łąki na ziemi, że zaś nie była zadowolona z swych

kształtów i wstydziła się ich przed innymi, więc ma za to wyznaczoną pokutę.

Nie śmie się pokazywać ni słońcu, ni ludziom, tylko gdzie w lesie najciemniej, a rośliny gniją bez światła i ciepła, pokrywając ziemię oślizłą czarną masą, tam to porusza się ociężała zła i samotna.

Nie ma też na świecie złośliwszego stworzenia. Nie daruje nikomu.

Gdy jaka mucha tam zabłądzi, lub komar, wnet się do niego przybliży, a ukryta za suchą gałązką, zaraz go opluje lepką, zabójczą śliną. To jej jedyna radość i zajęcie. Nawet człowiekowi robi to samo.

Żyje więc samotna zdala od wszystkich i tak wciąż spełnia pokutę bez nadziei jej końca, bo też wielkim był jej występek, a to i kara taka.

Wiedzą o tem wszystkie zwierzęta i ptaki, nawet i muszki choćby najdrobniejsze, więc się nikt do pokutnicy nie zbliża. W każdym więc lesie, gdzie już nikt nie dochodzi, ma swoją siedzibę i gdyby kto szukał, toby w takich miejscach napotkał ją zawsze.

A gdy, która mimo wszelkiego zakazu, a zdarza się to czasem, opuści lasy i podejdzie do ludzkich mieszkań, to taka ją złość bierze na widok każdego szczęścia, że kryje się wnet po piwnicach i tam już ginie, gdy na nią czas przyjdzie.

Takie to już jej życie, i wyklął ją sam Stwórca i to zaraz po stworzeniu, gdy chodził po ziemi i oglądał swe dzieło.

Przechodził wówczas morza i lasy i łąki, a

gdzie przyszedł, witany był z radością przez wszystko, co żyło. W lesie to już był jarmark prawdziwy, bo tam różnych stworzeń najwięcej, a wszystko to cisnęło się do Stwórcy, chcąc go zobaczyć i cześć oddać.

Drapieżne, wielkie ptaki przelatywały obok małych, nic im złego nie robiąc, a nawet ustępowały im na gałęziach, jak na mocniejsze stworzenia przystało.

Szedł tedy Pan Bóg powoli, z ogromną dobrocią na twarzy i patrzał na wszystko łaskawie, a na czem dłużej wzrok zatrzymał, to już było najszczęśliwsze ze wszystkich. Nie gniewał się na natrętów, chociaż tych było wszędzie najwięcej.

A co się tam potem działo! Nikt by nie uwierzył, że można tak szaleć z radości.

Rej, jak zawsze, wodziły tam wróble. — Kręciła się ich wciąż chmara dokoła, by podsłuchać rozmowy sikor, trznadli i innych, a sto razy odganiane wracały napowrót i obsiadały gałęzie, kręciły wciąż główkami, dziwując się wszystkiemu. Z nowinami leciały zaraz do swych szarych towarzyszy, a wówczas podnosił się świergot tak głośny, że prócz niego nic w lesie słychać nie było.

Obrócił się nawet raz Stwórca i łagodnie uśmiechnięty, pogroził im z żartu, lecz nie ucichło się wcale, tylko powstała taka wrzawa, jakby nie było innych stworzeń na ziemi. Z odległych lasów zbiegały się sarny, jelenie, zające, nawet drapieżniki różnego rodzaju, a wszystko po

to tylko, by się pochwalić swą postacią przed Panem.

Gdy już las przeszedł i zaczęła się łąka, popatrzył raz jeszcze na drzewa, kwiaty leśne i trawy, jak pierwszą napojone rosą spoglądały w słońce swobodnie.

Łąkę przerzynał mały strumyk, a potem znów się ciągnęły pola bez końca, tu i owdzie pogarbione łagodnie, a zieleń była z nich różna, to jaśniejsza gdzieniegdzie, to znów ciemniejsza, upiększona kwiatami, lecz nie było nigdzie dwóch równych ani kształtem, ani kolorem przy sobie.

Jak w lesie wróble, tak tutaj dokazywały znów polne koniki. Ukryte między źdźbłami trawy, nie odpoczywały ni chwilki, tak, iż się zdawało, że to łąka sama jak szeroka i długa hymn jakiś szepce pobożnie w niezrozumiałym dla nikogo języku.

Trawy się kładły i wiatry także, zazdroszcząc tym, obok których Gość święty przechodził.

Lasy, chociaż były daleko, patrzyły wciąż przed siebie, a po nad nimi spoglądały góry, niższe naprzód puściwszy, sine, jak niebo, które się na nich oparło.

Kilkanaście kroków od brzegu strumyka niknęła trawa, ustępując miejsca rozrzuconym w nieładzie kamieniom.

Między niemi rosły jeszcze tu i owdzie spruszone szarem pyłem samotne chwasty.

Tam skierował Stwórca swe kroki.

Woda płynąc trącała swawolnie napotkane po drodze kamienie, te patrzały milcząco na nie-

winną pustotę i tylko odtrącały od czasu do czasu zbyt śmiałych natrętów. Wówczas wilgotna i ślizga powierzchnia kamienia wychylała się z wody na chwilę, otoczona pianą i szumem, lecz wkrótce niknęła znowu, a rozbawiona fala uciekając co jej sił starczyło, nawoływała inne po drodze. Czasem, gdy zbyt silną napotkała zaporę, że jej przebyć nie mogła, wówczas groźnie nadąsana rzucała się w bok ze szumem, ale kilka już kroków dalej słychać znów było jej śmiech dźwięczny a głośny, jak dawniej.

Nad brzegiem było pusto, po bielejących się w koło kamieniach uganiały tylko motyle. Żółte, białe, zielone, lecz białych było najwięcej. — Opuściły łąkę i kwiaty, z których piły słodycz przed chwilą, po to tylko, aby się sobie w strumieniu przyglądnąć, takie to było wszystko zakochane w swych kształtach.

Stwórca stał chwilę nad brzegiem wpatrzony w wodę, a wokoło otaczały go białe kapustniki, zielone cytrynki, brązowe cejaki i wiele, wiele innych.

Potem poszedł do kamienia, który sterczał opodal, a podważywszy go, w bok odrzucił.

W skalnym dziuple siedziała ropucha, czarna, ogromna, która wstydząc się swej postaci, tam uciekła. Teraz nawet nie spieszyła wyjść z swego ukrycia, tylko przycisnęła się jeszcze bardziej do kamienia.

— Wówczas przeklął ją Pan Bóg, że się przed nim ukryła i wyjść kazał ze szczeliny.

Wyszła niechętnie i leniwo.

A Bóg kazał jej tak powoli przepełzać pół świata bez odpoczynku i jadła — i tam zamieszkać, gdzie żadne z jego stworzeń mieszkać nie będzie.

I pełzała ropucha przez siedm gór i dolin o głodzie i w słońcu, aż zaszła w bór ciemny i stęchły, pozbawiony światła i życia.

Tam dopiero pozwolił jej pozostać.

Módl się i pracuj!

Módl się, pracuj, w Bożej woli
  Bóle twe i troski,
Krzyż acz ciężki nieś powoli,
  Wszak Syn niósł go Boski.

Krzyż aż ciężki nieś powoli...
  Krzyż-to próba ducha!
Bóg wie dobrze, co cię boli...
  Widzi cię i słucha!

Bóg wie dobrze, co cię boli...
  I łzy twoje liczy!
I oddalić — w Jego woli —
  Kielich twej goryczy!

Wierz i pracuj! W Jego woli
  Zmienić róże w ciernie!
On cię zdeptać nie pozwoli,
  Lecz służ Panu wiernie!

On cię zdeptać nie pozwoli!
  Stój, choć serce pęka,

Szalę ludzkich łez niedoli
  Waży jego ręka!
Szalę wielkich, małych doli
  On w swym sądzie trzyma!
On Dawida procę woli,
  Niźli miecz olbrzyma!

Módl się pracuj! A powoli
  Zbłagasz Wyrok Boży!
On z utrapień cię wyzwoli,
  Koniec łzom położy!

Wierz i pracuj! w Bożej woli
  Bóle twe i troski!
Krzyż, acz ciężki, nieś powoli...
  Wszak niósł go Syn Boski. *Kl. P.*

Kara Boża za krzywoprzysięstwo.

— Gdy budowano kolej, tak mi opowiadał mój Proboszcz, przyszli różni ludzie w nasze strony, dobrzy i źli; większa część była złych. Między robotnikami byli ludzie niebezpieczni. Jako Proboszcz mogłem tylko moich parafian od złych pływów zachować; wszelkie starania, by tych zdziczałych ludzi na dobrą drogę naprowadzić, odtrącali przekleństwami i szyderstwem. Razu pewnego rozeszła się pogłoska po wsi, że przy rozsadzaniu skały stało się nieszczęście; odłamki ze skały wyrwały jednemu robotnikowi całą niższą część twarzy — powiadano, że umarł.

Ale ta ostatnia pogłoska nie sprawdziła się. Skaleczenie nie było śmiertelne, spodziewano się go wyratować. Po 8 dniach zawezwano mnie do skaleczonego. Jakiż okropny widok przedstawił się moim oczom! W nędznej komorze leżał na słomie, kilku łachmanami odziany, ów nieszczęśliwy człowiek. Już wiele nędzy widziałem, ale takiej jeszcze nigdy.

Chory patrzał z oczyma w słup obróconemi na powałę; usiadłem obok jego łoża i modliłem się. W pół godziny, gdym chciał odchodzić, spojrzał na mnie i giestami prosił, abym usiadł. Ucieszyłem się, ale radość moja zmięsza się ze smutkiem, gdym się dowiedział, że mu braknie ufności w miłosierdzie Boże. Po ośmiu dniach chciał chory ze mną się widzieć i oświadczył mi, że się chce spowiadać; ale przed spowiedzią opowiedział mi, kim jest i jaka była przyczyna jego cierpienia.

Nazywałem się tutaj Antoni M., lecz właściwie nazywam się B. B. Zataiłem moje właściwe nazwisko, bom chciał ukryć swą hańbę — ja krzywo przysiągłem!

Z tych słów poznałem, co mu dolega. Dodałem mu otuchy, że Bóg mu przebaczy, a on tak dalej mówił:

— Jam jest tym gospodarzem, który w ósmym domu na drodze z L. do N. mieszkałem. Tam wytoczyłem niesłuszny proces memu sąsiadowi o rzecz, która i 10 reńskich nie była warta. Opór, zazdrość i łakomstwo tak mnie zaślepiły, żem postanowił krzywo przysiądz, choć wiedziałem, że obciążę swe sumienie; przewidywałem mą nędzę, a jednak w nią się rzuciłem.

W nocy przed terminem zesłał mi Pan Bóg dziwny sen. Widziałem siebie i sąsiada, jakeśmy szli do sądu; po drodze przyłączył się do nas mąż z wejrzeniem poważnem i przedstawiał mi surowość kar doczesnych i wiecznych.

Zbudziłem się. Nie, nie będę przysięgał — pomyślałem. Lecz jakby niewidzialną, złą siłą porwany, poszedłem ku domowi sąsiada — ujrzałem, jak jest piękny — i zazdrość nie dała mi dalej myśleć.

Poszedłem do sądu i przysięgałem. Wygrałem proces — ale od tej chwili sumienie dawniej uśpione, nie dało mi spokoju; jak robak, gryzło mnie wewnątrz, dzień i noc wołając:

Krzywo przysiągłeś, jam jest świadkiem — ja cię oskarżę!

Daremnie starałem się rozerwać w pośród wesołych towarzystw, wewnętrzny głos przygłuszyć. Ale znów nastały chwile samotności, ciche noce, a z niemi wyrzuty sumienia, które spokój i sen odpędzały. Ileż nocy musiałem bezsennie spędzić! Spać nie mogłem, bo wiecznie mnie dręczyła myśl o krzywoprzysięstwie.

I nikomu nie mogłem serca mego otworzyć, u nikogo pociechy i współczucia szukać; musiałem ukryć wewnętrzne katusze, ale i one na obliczu mojem się odbiły. Wszystko mnie gniewało. Zdrowie nawet straciłem. Nie byłem wstanie prowadzić gospodarstwa, dobrobyt nikł i coraz lepiej i jaśniej widziałem, że przekleństwo Boże cięży nademną.

Znajomi domyślali się tego; odsuwali się więc odemnie i dali mi uczuć swoję pogardę. Wreszcie wydało się, że jestem krzywoprzysięzcą; wsadzono mnie do więzienia. Żona moja, milcząc, spoglądała na mnie, gdy mnie prowadzono; zgryzota prawie ją do grobu wtrąciła. Patrzały dzieci na niegodnego ojca — ja to wszystko opuścić musiałem; zostałem sam ze złem sumieniem i z tą myślą okropną, że już wszystko dla mnie przepadło.

Czas więzienia upłynął — wyszedłem; ale wszyscy mną gardzili, nikt mi nie ufał, żona i dzieci wstydzili się mnie. Pewnej ciemnej nocy opuściłem dom i rodzinę i udałem się w strony, gdzie mnie nie znano. Sześć lat się błąkałem, aż oto w te strony przyszedłem. Tu już nie mogłem znieść życia. Szukałem śmierci i byłbym ją znalazł, przy rozsadzaniu skały, gdyby Bóg był dopuścił. Ale ja wiem, że wpierw musiały być ukarane te usta moje i język i prawa ręka, które były narzędziami krzywoprzysięstwa!

Tak mnie Bóg ukarał na ziemi, ale cóż dopiero czeka mnie w straszliwej wieczności?

Tu umilkł chory, a jam ani słowa wyrzec nie mógł. Litość mnie zebrała.

— Boże, przebacz mu w wieczności — westchnąłem.

I Bóg przebaczył. Dał mu łaskę ze skruchą się wyspowiadać i przyjąć Wijatyk św. na drogę wieczności.

Tak przez wyznanie i straszne cierpienia przebłagał majestat Boży!

Od Wydawnictwa!

„Biblioteka Nowego Dzwonka“ dalej już **wychodzić nie będzie**, i ten zeszyt jest ostatnim.

W miejsce **„Biblioteki“** wychodzić będzie napowrót od lipca bież. roku: popularno-naukowa i powiastkowa

„SKARBNICA“

w większych zeszytach miesięcznych.

Prenumerata na „Skarbnicę“

wynosi za jedno półrocze, t. j. od lipca do końca bież. roku: **1** Koronę **50** halerzy (**75** centów). Do **Niemiec**: **1** markę **50** fenigów.

Zgłoszenia i prenumeratę należy nadsyłać **pod adresem:**

Redakcya „Nowego Dzwonka“
w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.